

Wyzwolić strasznych mieszczan

2 maja 2008

Od czasów pani Dulskiej wiadomo, że największa liczba strasznych mieszczan na metr kwadratowy strasznego mieszkania przypada w Krakowie.

Nic też dziwnego, że od kilku lat przez miasto przemaszerowują pod tęczowymi flagami seksualni rewizjoniści i mistrzowie podejrzeń, dekonspiratorzy i demistyfikatorzy pruderii, obłudy i obyczajowego zaścianka. Tak będzie i w tym roku. I właściwie nie chciałoby mi się już o tym mówić ni pisać, bo sprawa z roku na rok budzi we mnie coraz większe znudzenie i obojętność, gdyby nie pewna – skądinąd zabawna – informacja z programu tegorocznych obchodów walki z ciemnotą i kołtunerią w imię wszystkiego, co światłe i postępowe, a przy tym związane – excusez le mot – z pocziwym ciupcianiem. Tak to już bowiem utarło się na nowej lewicy, że walczy z kapitalizmem głównie genitaliami. Brzydko mówiąc: pieprzy kapitalizm z całych sił. Choć mam spore obawy, że – mówiąc obrazowo – cała para idzie w gwizdek.

Zatem w ramach tegorocznego festiwalu seksualnie wyzwolonych „Kultura dla tolerancji” będzie można zobaczyć reklamowaną jako „wydarzenie specjalne” wystawę zdjęć zatytułowaną nowocześnie, bo z angielska: „Cumfaces”. Będzie tam można zobaczyć portrety ludzi przeżywających orgazm. Szczerze mówiąc, oglądanie gęb bliźnich w chwili erotycznego uniesienia wydaje mi się tyleż niesmaczne, co zabawne – to trochę tak jak z Gargantuą i Pantagruelem. No ale widać zaliczam się do strasznych mieszczan, o których zaraz będzie mowa. Otóż ulotka reklamująca to śmiałe wydarzenie artystyczne głosi, iż „efektem [zmagania z płcią i obiektywem] jest cykl prac, które wyciągają seksualność z mieszczańskiej sypialni i śmiało wprowadzają ją w przestrzeń publiczną”.

Tak zatem nowa lewica ożywia stary mit strasznych,

purytańskich, pruderyjnych, kołtuńskich mieszczan i przeciwstawia jej świeżość swej ideologii. Co prawda ta świeżość trąci myszką starej, pocziwej dekadencji, no ale umówmy się, że dekadencja zawsze jest cool, a mieszczenie to zacofańcy, egzystujący w strefie mroku zbędnych tabu, intymności i poczucia, że po to wymyślono alkowę, by nie czynić jej rzeczą publiczną. Cyganeria zwyczajowo wie jednak lepiej, czego ludziom do szczęścia potrzeba. Trzeba ich epatować wyzwoloną sztuką, by wreszcie sami doznali wyzwolenia i oczyszczenia. Ku czemu i po co? To właśnie jest dla mnie niejasne.

Rzecz jasna, sztuka współczesna na usługach lewicy jest sztuką społecznie zaangażowaną. Wrażenia estetyczne (choć z zasady nie grzeszy ich nadmiarem) są tu narzędziem i pretekstem dla przekazania ideologii, która nie tylko ma interpretować świat, ale i go zmieniać. Rzecz jasna, na lepsze. Straszni mieszczenie, ze swymi uprzedzeniami i zabobonami, ze swym mniej lub bardziej rozwiniętym systemem moralnym i etycznym, wyniesionym choćby z religii, nadają się jak znalazł na ilustrację z propagandowego opowiadanka: raz jako chłopiec do bicia, dwa (jedno nie przeczy drugiemu) jako przedmiot kaznodziejskich starań i wysiłków nowej lewicy.

Zastanawia mnie, jaki zbawienny skutek społeczny ma przynieść tego rodzaju „wydarzenie artystyczne”? I cóż mamy zawdzięczać wywleczeniu seksu z mieszczańskiego łóża na oczy szerszej widowni? Wyzwolenie i szczęście zapewne. Tu jednak zaczyna się pewien kłopot: jakie wyzwolenie, jakie szczęście? Mam przykre wrażenie, że cały ten projekt niewiele różni się od pogadań seksuologów z pism dla nastolatków i świerszczyków dla pryszczatych młodzieńców: spełnij się, bądź bezpruderyjny itp. Oto wielki, wspaniały projekt społeczny na poziomie snu erotomana. Nikt nie odmawia erotomanom marzeń, ale – bądźmy szczerzy – nie jest to wizja akceptowalna na poziomie ludzkiej wspólnoty. Coraz więcej seksu w przestrzeni publicznej – jeśli to rozumie nowa lewica przez wolność, jaką proponuje ogółowi,

to obawiam się, że jej projekt upadnie znacznie szybciej niż ktokolwiek może się tego spodziewać. Stanie się po prostu nudny i jałowy, przestanie szokować i absolutnie nie będzie odpowiadał na jakiekolwiek faktyczne zagrożenia i bolączki społeczne.

No chyba że o czymś nie wiem, że coś pomijam. Może takie „kumfejsy” (że pozwolę sobie ukuć taki termin na potrzeby tego felietonu) mogą realnie przyczynić się do zmniejszenia przypadków pedofilii, molestowania seksualnego (w rodzinach, miejscach pracy, na uczelniach, w polityce)? Może wywierają jakieś dobroczynne skutki w relacjach międzyludzkich? O niczym takim nie wiem, dlatego traktuję je jako stricte ideologiczny projekt formacji idącej na jałowym biegu, której popularność, jak sądzę, wynika przede wszystkim z tego, że znajduje dla siebie grunt i poklask w intelektualnie miękkiej, treściowo nijakiej, jałowej i znudzonej sobą kulturze masowej.

Bo nie oszukujmy się: nowa lewica, z całą swą obsesyjną walką o seksualną emancypację i epatowaniem widza/czytelnika ekscesami, nie jest niczym rewolucyjnym, ni odkrywczym. Bazuje na znudzeniu konsumenta odpowiednio sformatowanego przez współczesne środki prania mózgu, który w przerwach między pracą a snem przerzuca kanały TV, surfuje po Sieci i szuka choćby cienia mocniejszych wrażeń. I to jest właśnie jego wyzwolenie: rozrywka. Tudzież rozrywka bardziej wyrafinowana, z polem czegoś intelektualnie pogłębianego, zaangażowanego i – rzecz jasna – modnego, a zatem słusznego: „kumfejsy”. Tu dochodzimy do paradoksu: człowiek nie przestaje być strasznym mieszczaninem nawet wtedy, gdy rozprawia publicznie o seksualnej rewolucji. Mało to wokół nas „wyzwolonych” hipokrytów?

Odczuwam jednak pewną obawę, że może po prostu jestem staroświecki i kompletnie nie wyznaję się na nowoczesności i nic a nic nie pojmuję z jej dobrodziejstw. I zamiast krzycheć: „Pornografowie wszystkich płci, łączcie się!”, wieczorami obłudnie zasłaniam zasłony. I że czuję wstyd. Czy jestem mniej

szczęśliwy i mniej wyzwolony od tych, co w parku uchylają poły długich płaszczy? Nie wiem. Ale jakoś trudno mi sobie wyobrazić społeczeństwo zdominowane przez sympatycznych panów w długich płaszcach. Choćby wychowanych w/na kulturze dla tolerancji.

Autor: Krzysztof Wołodźko

Źródło: [Obywatel](#)

PS. I jeszcze jedno, choć to nie fair, bo to argument ad personam. Zastanawia mnie, ilu z tych piewców „wyzwolenia seksu” zdecydowałoby się na miłość w miejscu publicznym. Może trzeba by na tę okoliczność przepytąć organizatorów i czołowe postacie rodzimej nowej lewicy. Można by sprzedawać bilety, a środki z nich uzyskane przeznaczyć na jakiś godny cel...